

Szpital Świętego Jana leżał za peryferiach miasta, otaczały go puste pola i trasy szybkiego ruchu. Jensen jak zawsze poczuł się nieswojo, gdy tylko znalazł się w holu i wciągnął w nozdrza szpitalne powietrze. Nie pachniało niczym szczególnym, a jednak można w nim było rozpoznać wszystkie zapachy: smród ropy, krwi, gnijącego ciała i rozpacz.

Ludzie rozmawiali cicho, lekarze i pielęgniarki w białym szpitalnym obuwiu przesuwali się obok niego, jakieś dziecko trzymało niedbale bukiet chryzantem. Matka – kobieta o zmęczonych, załamanych oczach – upomniała je, by trzymało kwiaty prosto. Poprawiła kołnierzyk koszuli dziecka i odgarnęła mu włosy z czoła. Oddział patologii znajdował się na ósmym piętrze. Jensen czekał na jedną z wind. Na fotelu w poczekalni siedział starszy mężczyzna. Kiedy przyszli dwaj pielęgniarze, podniósł swoją małą, zniszczoną walizkę i poszedł za nimi. Tulił tę walizkę do piersi jak dziecko lalkę. Gdy przechodził obok, Jensen przez krótką chwilę popatrzył mu w oczy i dojrzał w nich czysty strach, nie przerażenie czy panikę, lecz dojrzały strach człowieka, który miał już czas pogodzić się ze swoim losem.

Jensen odwrócił się; na każdym kroku człowiek dowiaduje się o czyjeś tajemnicy. Winda nie nadjeżdżała. Cekał z coraz większą niecierpliwością, szukał pocieszenia w elementarnej prawdzie, leżącej u podstaw całego tego cierpienia i straconych nadziei. Prawdzie głoszącej, że chorzy i umierający, dręczeni bólem i słabi, zbudowani są z niemal nieśmiertelnego materiału. Protony, neutrony i elektrony, z których składają się ich ciała, liczą czternaście miliardów lat, tyle, co sam wszechświat, a jednak ciągle są jeszcze młode. Niektóre atomy, na przykład atomy żelaza, mogą się poszczycić poetyckim pochodzeniem. Powstały w gasnących słońcach, w głębinach wszechświata miliardy lat temu i na skutek najrozmaitszych wydarzeń znalazły się na Ziemi. Ten stary mężczyzna z walizką, prowadzony przez pielęgniarzy i znikający właśnie za wahadłowymi drzwiami oddziału onkologicznego, jest istotą z gwiazdowego pyłu. Teraz pył ten tworzy wprawdzie to pojedyncze śmiertelne ciało, ale wcześniej był już w niezliczonych stworzeniach, w dębie, kroplach rosy, trzcinie, pradawnym jaszczurze i w myśliwym polującym na renifery, w babilońskiej chłopce i w normandzkim pachołku. Jeśli ów stary mężczyzna nie wyjdzie żywy ze szpitala, za pięćdziesiąt albo za sto lat niektóre jego atomy przyczynią się do piękna chryzantem, które jakaś matka kupi w szpitalnym kiosku i wciśnie w dłoń swojemu dziecku, żeby wręczyło je śmiertelnie choremu człowiekowi.

Śmierć można by przewyciężyć, pomyślał Jensen, gdyby człowiek potrafił identyfikować się z całością, zamiast z samym sobą.

W końcu drzwi windy otworzyły się i wyszło z niej kilka osób ze stojakami, na których wisiały woreczki z solą fizjologiczną. Przede wszystkim wodór, pomyślał. Wodór, który powstał wkrótce po Wielkim Wybuchu.

Na ósmym piętrze zameldował się u pielęgniarki. Była tu nowa, nie znał jej. Pokazał legitymację służbową i zapytał o doktora Balasundarama.

- Bierze prysznic – odrzekła.
- Poczekam.
- To może chwilę potrwać.
- Wiem.

Usiadł na ławce w pobliżu pryszniców. Na patologii, zgodnie z charakterem tego miejsca, było ciszej niż na innych oddziałach Świętego Jana. Inaczej rzecz ujmując, dźwięki produkowały tutaj niemal wyłącznie maszyny – wentylatory, bez których praca na sali prosektoryjnej byłaby nie do zniesienia, zwłaszcza w szpitalu należącym do miasta, w którym połowa wszystkich siedemdziesięciolatków mieszkała samotnie. Większość stanowiły kobiety, ich mężowie zmarli, a dzieci wyjechały do Antwerpii lub Brukseli i zajmowały się własnym życiem zawodowym. Często przez dwa, trzy tygodnie ludzie ci leżeli martwi w swoich mieszkaniach, ale miesiąc czy dwa też nie należały do rzadkości. Gdy w końcu przywożono ich tutaj w workach i układano na stole prosektoryjnym, filtry powietrza zaczynały głośno szumieć, w szybach wentylacyjnych huczało jak w czasie wichury, a w pomieszczeniu obok patologdy nakładali maski. Wkładali wodoszczelne chirurgiczne fartuchy, ochronne czepki na włosy, naciągali plastikowe rękawice, na nie jeszcze jedną parę i wchodzili do sali. Z łatwością rozkrawali niemal płynne ciała, a odór natychmiast wpelzał pod ochronne ubrania, nieważne, czy składały się z podwójnych czy potrójnych warstw. Smród rozkładających się zwłok stawał się samoistnym bytem, bestią, która nieraz już z gwałtowną wściekłością dopadła Jensena, gdy musiał wyważać drzwi mieszkania jakiegoś zapomnianego człowieka. Istota odoru jest, zgodnie z jego naturą, nie do opisanego, to on świadczy o śmierci, a nie widok zwłok. Kto nigdy nie poczuł tego zapachu, nie ma pojęcia, jak bardzo obezwładnia. W ciągu paru sekund przenika przez ubranie i

wdziera się w najmniejsze pory skóry – włosy cuchną nawet po długim prysznicu. Trzeba wyrzucić wszystko, czego nie warto długo czyścić, na przykład długopisy albo szpilki do krawatów.

Balasundaram brał bardzo długi prysznic. Jensen już od prawie dwudziestu minut słyszał szum wody. Oznaczało to, że lekarz miał do czynienia z ciałem w stanie zaawansowanego rozkładu i kiedy wyjdzie spod prysznicza do Jensena – jeśli tak się diabłu spodoba – być może doleci jeszcze tchnienie śmierci.

Na końcu długiego i pustego korytarza jakaś Marokanka pchała na szczołce mokrą szmatę, bezmyślnie wycierała wciąż to samo miejsce, nie zadając sobie najmniejszego trudu, by cokolwiek udawać przed Jensenem.

W końcu drzwi pomieszczenia z prysznicami się otworzyły, buchnął obłok pary, a za nim pojawił się Balasundaram w świeżym ubraniu – indyjski książę, którego bogowie obdarzyli zapierającą dech w piersiach urodą, ale postawili warunek, że spędzi życie z trupami w takiej zapadłej dziurze jak Brugia. W jednostce krążył dowcip, że po każdym bożonarodzeniowym spotkaniu wydziału kryminalnego, na którym tradycyjnie bywały zarówno żony policjantów, jak i Balasundaram, kobiety gotowe były udawać martwe, byle tylko spędzić z nim 10 minut w sali prosektoryjnej.

– Przykro mi, że przeszkadzam panu tuż po pracy – powiedział Jensen.

– Po pracy człowiek spotyka się z przyjaciółmi – odparł Balasundaram i uściśnął mu rękę. – Miło pana widzieć. Jestem nawet bardzo zadowolony, że pan przyszedł, chociaż właściwie nie wolno mi z panem rozmawiać.

– Dupont?

– Dzwonił do mnie dzisiaj po południu. Co godzinę. I za każdym razem przypominał, żebym nie przekazywał panu żadnych informacji o sekcji zwłok. Powiedział, że jest pan zawieszony. W jego oczach znaczy pan zapewne tyle co nadęty czarnuch.

Balasundaram nawiązał do gafy Duponta sprzed dwóch lat. Dupont spędzał wieczór przy piwie w towarzystwie kilku młodszych policjantów i krytykował Belgijki, które jakimś zatrzymanemu wówczas Afrykańczykowi posyłały do więzienia listy miłosne. Dla Duponta było to zwyrodnienie, tak samo jak ochota niektórych pań na Balasundarama, tego „nadętego czarnucha”. Następnego dnia jeden z obecnych z oburzeniem powtórzył to Balasundaramowi, którego rodzice pochodzili zresztą z Kalkuty.

– To tyle, jeśli chodzi o mojego przyjaciela Duponta – powiedział patolog. – A teraz chciałbym panu pokazać zwłoki. Bo chyba chce się pan im przyjrzeć? Radzę to zrobić, to jest coś naprawdę niezwykłego.

Niedobrze, pomyślał Jensen.

– Czy jeszcze nie ustalono przyczyny śmierci? – zapytał.

– Nie. I kiedy zobaczy pan tego człowieka, zrozumie pan, dlaczego.

Jensen udał się za Balasundaramem do pomieszczenia, w którym przechowywano zwłoki w ponumerowanych lodówkach, poza tym nie było tu nic, oprócz chłodnego powietrza, które owiało czoło Jensena. Wentylatory szumiały, pod sufitem jaskrawo świeciły lampy. Balasundaram włożył jednorazowe rękawiczki i wyciągnął szufladę numer osiem. Czarny worek wybrzuszył się pośrodku. Worki miały różne rozmiary – Ritter tkwił w za małym.

Patolog rozsunął suwak. Leżały przed nimi nagie zwłoki, dla Jensena były czymś całkowicie obcym. Rozpoznał wprawdzie rysy Rittera, ale to, na co patrzył, nie miało nic wspólnego z mężczyzną, z którym rozmawiał dwa dni temu. To ciało było szarą i zniekształconą podobizną Rittera, niczym więcej. Blizna po nacięciu w kształcie litery Y ciągnęła się od ramion aż do włosów łonowych. Jensen szukał zranień, lecz na pierwszy rzut oka ciało wydawało się nienaruszone.

– Wiem, czego pan szuka – powiedział Balasundaram. – Dupont udzielił mi szczegółowych wyjaśnień. Ten człowiek zwrócił się do pana, gdyż rzekomo ktoś mu groził. Teraz szuka pan śladów przemocy i jest pan zadowolony, że niczego takiego nie widać.

– Tak – odparł Jensen. – Ale?

– Nie ma ale. Czy chce pan, żebym odwrócił zwłoki? Może mi pan jednak oszczędzić trudu. Niech pan uwierzy, tam też nie znajdziemy ran. Najmniejszych. Przejrzałem skórę centymetr po centymetrze, szukałem nawet niewielkich nakłuć. Niczego nie znalazłem. Skóra mężczyzny jest w idealnym stanie, nie ma na niej nawet siniaka. A jednak bez wątplenia ten człowiek jest martwy. Co można zatem podejrzewać?

– Udar. Zawał. Jakąś chorobę.

Nie, to nie to, pomyślał Jensen.

– Zgadza się. Widzi pan, kiedy człowiek ginie w wypadku albo ktoś go zastrzeli lub wbije mu nóż w klatkę piersiową, za każdym razem na skórze zostają ślady. Jest uszkodzona, nie może być inaczej. Ślady uderzeń, otarcia, nacięcia...

Po co mi o tym mówi?, zastanawiał się Jensen. Co tu się, u diabła, dzieje?

– ...ślady duszenia. Znajduje się je u ofiar wypadków i u zamordowanych. W przypadku tego mężczyzny, jak słusznie pan powiedział, podejrzewa się zawał spowodowany zapaleniem mięśnia sercowego lub chorobą niedokrwinną serca. Albo ustanie pracy któregoś z organów – z jakichkolwiek przyczyn.

Balasundaram w zamyśleniu patrzył na zmarłego, jego piękna twarz tworzyła jaskrawy, nieprzyzwoity kontrast z nabrzmiałymi, zniekształconymi obdukcją zwłokami.

– Ale ten człowiek w chwili śmierci był zdrowy – powiedział. – No dobrze, może nie całkiem zdrowy: miał marskość wątroby, powiększone serce. Tęgi alkoholik. Tak czy inaczej, gdyby nie zmienił stylu życia, za dziesięć lat wylądowałby w tym worku. Ale jeszcze nie teraz. Nie, Jensen. Mamy do czynienia ze śmiertelnymi w skutkach ciężkimi obrażeniami wewnętrznymi, bez zewnętrznych oznak, z bardzo ciężkim wewnętrznym uszkodzeniem, które wydawać by się mogło, powstało bez udziału osób trzecich. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego. To dla mnie zagadka.

– Cóż to za wewnętrzne uszkodzenie? – zapytał Jensen.

– Pęknięcie aorty. Gdy otworzyłem ciało, zobaczyłem, że organy pływają we krwi. I dosyć szybko odkryłem przyczynę. Aorta jest rozerwana, dokładniej *aorta abdominalis*. Równa szczelina, niemal jak nacięcie. To nie mogło trwać długo, dwie minuty i nadeszła śmierć.

– Chwileczkę – wtrącił Jensen. – Rozmawia pan z laikiem. Aorta jest tętnicą główną, prawda?

– Wychodzi z lewej komory serca, biegnie wzdłuż kręgosłupa do jamy brzusznej. Tutaj. – Balasundaram przejechał palcem po dolnej części szwu na ciele Rittersa. – Jest głównym naczyniem układu krwionośnego – dodał. – Zaopatruje w krew wszystkie kończyny i organy. U niektórych ludzi również mózg.

– Jakie mogą być przyczyny jej pęknięcia? – zapytał Jensen.

Miał teraz nieco więcej nadziei, czyż wyjaśnienia Balasundarama nie przemawiały raczej za jakąś chorobą, wylewem krwi do mózgu lub czymś podobnym?

– Pęknięcie aorty – mówił patolog – nie jest samo w sobie niczym szczególnym. Nie zdarza się zbyt często, ale czasami występuje. Są dwie możliwe przyczyny. Ciężki wypadek samochodowy albo rana zadana nożem lub innym ostrym przedmiotem. W obu przypadkach obecne są jednak pierwotne uszkodzenia. Rozumie pan? Mogę tylko powtórzyć: pęknięcie aorty bez uszkodzeń zewnętrznych jest niewytłumaczalne. W każdym razie ja nie potrafię tego wytłumaczyć. W znanej mi literaturze medycznej nie odnotowano podobnego przypadku. Więc gdy mnie pan zapyta, dlaczego ten człowiek umarł, odpowiem: umarł z powodu bardzo intensywnego, wewnętrznego krwotoku. Jeśli chciałby pan ode mnie usłyszeć, jak do tego doszło, musiałbym odpowiedzieć: nie mam zielonego pojęcia. Dlatego też raport z sekcji nie jest jeszcze gotowy, nie mógłbym wziąć za to odpowiedzialności. Potrzebuję wsparcia, mówię panu zupełnie szczerze. Zadzwoiłem do profesora Jana De Plancke i przedstawiłem mu tę sprawę. Przyjedzie jutro rano i zbada zwłoki. Był bardzo zaintrygowany. Nic dziwnego. Widzę jednak, że jego nazwisko, De Plancke, nic panu nie mówi?

– Nie.

– Jest jednym z najznamienitszych lekarzy patologów w Europie. Studiowałem u niego. Kieruje między innymi Instytutem Medycyny Sądowej w Brukseli. Jestem naprawdę ciekaw, do jakich dojdzie wniosków.

– Tak – powiedział Jensen. – O ile dobrze rozumiem, na tym etapie nic nie jest wykluczone. Ani wypadek, ani choroba, ani morderstwo.

– Sformułowałbym to odwrotnie, choć zabrzmiałoby to upiornie: na tym etapie wszystkie trzy wymienione przez pana przyczyny można wykluczyć. W każdym razie ja tak uważam.

Balasundaram zasunął suwak worka i zamknął szufladę.

– Proszę się nie martwić – powiedział, gdy żegnali się po wyjściu z sali. – Śmierć tego mężczyzny jest póki co medyczną zagadką, ale Bóg mi świadkiem, na brak medycznych zagadek nie możemy narzekać. Każdego dnia gdzieś na świecie jakiś lekarz staje zdumiony wobec wielkiego jak pięść guza, który znika praktycznie w ciągu jednej nocy, albo wobec człowieka przygniecionego przez dwie ciężarówky, który bez najmniejszej rany wstaje i idzie do domu. W naszym przypadku, mój drogi Jensenie, morderstwo brałbym pod uwagę na samym końcu. Trzeba by sobie wyobrazić dosyć skomplikowaną aparaturę, coś w rodzaju

dziś jeszcze nieznaną bronią laserową, która potrafiłaby przeciąć aortę bez naruszenia skóry. Policja musiałaby szukać sprawców chyba w sferze pozaziemskiej, nie sądzi pan?

Jensen wrócił do miasta autobusem. Wcześniej zrobiło się ciemno, na horyzoncie rozwidlały się błyskawice, lało jak z cebra. Na jednym z przystanków wsiedli trzej młodzi mężczyźni. Ze śmiechem strząsnęli wodę z włosów, żartując z protestów starszych pasażerów, którzy próbowali uniknąć ochlapania. Doszło do słownej przepychanki, co zdarzało się często w brugijskich autobusach, kiedy mieszkańcy wreszcie byli sami, bez turystów. Podobnie jak podczas rodzinnych spotkań, kiedy ludzie z byle powodu obrzucają się najgorszymi wyzwiskami w odwecie za to, że na zewnątrz, wśród obcych, stale muszą uważać na swoje zachowanie.

Jensen wysiadł na rynku. Deszcz nagle ustał, więc nie czekał na następny autobus, lecz resztę drogi na Timmermansstraat przebył pieszo. Czuł się źle, jakby zaczynało się przeziębienie z gorączką.

Zatrzymał się przed sklepem spożywczym, przez szybę dostrzegł lodówkę z piwem. Dziś wieczorem miał ochotę i, jak sądził, święte prawo, wypić więcej niż zwyczajowe trzy półlitrowe puszki. Z tym samym co zwykle uczuciem wstydu kupił sześć puszek niemieckiego piwa. To tak jakby we Florencji zażądać kawy rozpuszczalnej. Jednak słynne belgijskie piwo po piętnastu latach nie smakowało mu bardziej niż wtedy, gdy pił je po raz pierwszy.

Wkrótce znalazł się w spokojniejszych uliczkach dzielnicy Świętej Anny, w północnej części Starego Miasta. Tutaj rzadko spotykało się ludzi z mapą w ręku – nie było czego oglądać. Jensen zaniósł niemieckie piwo w reklamówce na Timmermansstraat.

Jestem w domu, pomyślał ze zdziwieniem, otwierając drzwi. W mieszkaniu panował dojmujący chłód i snuł się zapach nieumytych naczyń. Było lato, a mimo to włączył mały elektryczny grzejnik i ustawił go tak, że przynajmniej na sofie mógł siedzieć bez płaszcza. Otworzył puszkę, napił się i dopiero teraz uświadomił sobie, jak niesprawiedliwe było to wszystko. Tak, niesprawiedliwe. Nie tylko dlatego, że Ritter wplątał go w swoją śmierć, że wyciąga palec z szuflady w chłodni, wskazuje na Jensena i oskarża: Być może jesteś winny! W dodatku śmierć Rittera stanowi medyczną zagadkę, mężczyzna wybrał sobie koniec najbardziej egzotyczny z możliwych: pęknięcie aorty. Śmierć, przed którą składa broń tak znakomity patolog jak Balasundaram, co prawda prowincjonalny, niemniej doświadczony. Jeśli przyczyna zgonu nie będzie jednoznacznie określona, jeśli, na co się zanosi, pozostanie zagadką, podejrzenie zaniedbania obowiązków już na zawsze przylgnie do Jensena.

I to nie Dupont jest problemem, pomyślał Jensen, nie koledzy; problemem jest to, co sam o sobie myślisz.

Przeszedł do małego pomieszczenia przy kuchni, do gabinetu, który właściwie powinien być spiżarnią, ale Jensen nie gromadził zapasów. Zalogował się na stronie swojej jednostki, hasło zostało zaakceptowane, widać Dupont jeszcze nie zadał sobie trudu, by zablokować mu dostęp do wewnętrznych informacji. Przeglądał dane Rittera, nigdzie jednak nie znalazł numeru telefonu matki Ricka i Olivera. Dupont już dawno powinien był odszukać ten numer i zawiadomić żonę Rittera, był naprawdę niedbały, stale dążył do stanu najmniejszej energii, jak elektron.

Jensen zadzwonił do międzynarodowej informacji, jednak w Holbrook w Arizonie nie figurował nikt o nazwisku Ritter, za to w innych stanach były setki takich osób; w ten sposób niczego się nie dowie.

Numer zastrzeżony, myślał Jensen, nic nadzwyczajnego u zamożnych ludzi, a jeśli ktoś, jak Ritter, zamawia w De Tuilerieën apartament, z pewnością nie narzeka na brak pieniędzy. Następnie zadzwonił do hotelu z pytaniem, czy może pani Ritter dowiadywała się o męża i dzieci, jednak jego rozmówca, którego francuski akcent przebijał przez surowy flamandzki dialekt, zaprzeczył. Nikt nie dzwonił.

Jensen wyciągnął się w fotelu, pił piwo i wpatrywał się w ścianę za komputerem. Nic lepszego nie przychodziło mu w tej chwili do głowy. Chciał porozmawiać z matką, ale okazało się to niemożliwe. Chłopcy albo są w drodze do niej, albo nie. Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić: jeśli wsiadły do samolotu, ich nazwisko musiało się znaleźć na jakiejś liście pasażerów.

Otworzył następną puszkę – zapowiadał się długi wieczór. W internecie znalazł spis linii lotniczych, które dzisiejszego popołudnia oferowały loty z Brukseli do Stanów Zjednoczonych. Wybrał pierwszy numer, wiedząc, że nie będzie łatwo. Pocieszyła go myśl, że za wszystkimi środkami bezpieczeństwa stoją ludzie. Od tych ludzi, nie od środków zależało w końcu bezpieczeństwo. Linie lotnicze nie udzielają informacji o listach pasażerów, chyba że pokaże się dowód osobisty i legitymację odpowiednich służb. Albo trafi się na kogoś, kto po prostu uwierzy przez telefon, że takie dokumenty się posiada.

Widocznie Jensen był bardzo przekonujący, ponieważ otrzymał informacje od wszystkich linii. Czy na pokładzie znajdowali się pasażerowie o imionach Rick i Oliver? Chwileczkę, *sir*, sprawdzę. Dziewięć razy usłyszał nie, za dziesiątym rozmawiał z pracownikiem AeroMexico.

– Tak, lot AM 4589, Bruksela – Monterrey, Meksyk, przez Miami. Planowy start o 11.15. Rick i Oliver Ritterowie, klasa business.

– Jest pan pewien? – zapytał Jensen. – Meksyk? Nie Arizona?

– Jestem zupełnie pewien, umiem czytać, panie inspektorze. Takie informacje mam na monitorze. Polecili do Monterrey.

– Gdzie zabukowano bilety?

– Na lotnisku Escobedo, w Monterrey.

– Kiedy?

– Wczoraj. Rezerwacja nastąpiła o 16.15 czasu miejscowego.

– Ma pan na myśli czas meksykański?

– Tak, czas w Monterrey.

Przecież to niemożliwe! Jensen szybko przeliczył: osiem godzin różnicy między Belgią a Meksykiem, Meksyk na minus, co oznaczało, że bilety zakupiono godzinę po śmierci Rittera! Godzinę po! O północy czasu belgijskiego.

Poczuł, że robi mu się gorąco. Może ten człowiek się myli?

– Niemożliwe. Jest pan pewien, że to było wczoraj? Nie dzisiaj rano? Proszę uwzględnić różnice w czasie, może coś się panu poprzestawiało.

– Poprzestawiało? Patrzę na ekran, co się miało poprzestawiać? I czytam, że rezerwacja nastąpiła wczoraj o 16.15. Ale oczywiście błędy się zdarzają, to prawda, panie inspektorze. Albo ktoś czegoś nie dopatry. Może nastąpiła pomyłka przy wpisywaniu, cóż ja wiem? Widzę tylko to, co widzę.

– Tak – bąknął Jensen.

Wczoraj, godzinę po śmierci Rittera. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. A jeśli nie?

– W jaki sposób dokonano płatności? Kartą kredytową?

– Nie. Ktoś zapłacił gotówką. Gdyby było inaczej, widziałbym to, panie inspektorze.

– Chciałbym porozmawiać z kimś z obsługi lotu. Ze stewardesą, kimś, kto miał wtedy dyżur.

– Niestety, nie może pan – odparł urzędnik. – To byłoby wbrew przepisom. Przepisy są surowe. Muszę je respektować.

– To bardzo ważne.

– Przykro mi.

– Właśnie przed chwilą postąpił pan wbrew przepisom, udzielając mi informacji o liście pasażerów.

– Jest pan z policji! Dlatego tak zrobiłem.

– Nie powinien pan udzielać żadnych informacji przez telefon.

Jensen usłyszał hiszpańskie przekleństwo.

– No dobrze – odpowiedział urzędnik – zobaczę, co da się zrobić. Proszę poczekać.

Kilka minut później Jensen usłyszał nazwisko i numer telefonu komórkowego jednej ze stewardes, Julii Gomez.

Miał szczęście, odebrała telefon.

– Tak, tak, bliźniacy – mówiła szybko, niezbyt poprawnym angielskim. – Zostawiłam je dopiero godzinę temu, *angelitos*, całkiem sami, sieroty. Bardzo mnie to przejęło.

– Sieroty? – zapytał Jensen. Opisał Ricka i Olivera, dziesięcioletkowie, blond włosy, szczupli, bardzo podobni do siebie.

– Tak, tak, to oni! Dokładnie, jak pan mówi. Są sierotami. Zapytałam ich: Czy na lotnisku w Monterrey wyjdą po was...Jak to się mówi?

– Rodzice.

– Tak, rodzice. A oni odpowiedzieli: Nasi rodzice nie żyją. Nikogo z nich już nie ma. Przyniosłam im słodycze, a potem – bardzo mi ich było szkoda – czekoladę i resztę ciasteczek z prowiantu pokładowego.

– Kto wyszedł po nich w Monterrey? Wie pani?

– Tak, wiem. Zaprowadziłam przecież dzieci przed godziną do miejsca na lotnisku, gdzie spotykają się ludzie. To była *campesina*.

– Wieśniaczka?

– Tak, wieśniaczka. Jakaś służąca, ale już stara i nie z dobrego domu. Jej ubrania były brzydkie, brudne. Nie byłam pewna, czy mogę pozwolić dzieciom pójść z nią. Ale dzieci powiedziały, że tak, znamy tę kobietę, jest dobra, pójdziemy z nią.

– Dokąd? Dokąd poszła z dziećmi?

– Ale ja nie wiem – odparła stewardesa. – Nie mogę wiedzieć, musiałam wracać do samolotu, do stolicy. Czy coś jest nie tak? Dlaczego policja dzwoni? Nie rozumiem. Dzieci chciały przecież do *campesiny*, powiedziały, ta kobieta jest dobra, pójdziemy z nią.

Była bliska płaczu, więc Jensen pocieszył ją, mówiąc:

– Nie, wszystko w porządku. Dzieci mają się dobrze, to tylko rutynowe pytania.

Podziękował i odłożył słuchawkę.

Wczoraj, pomyślał, godzinę po śmierci Rittera.

Zrobiło się późno, dzwonek kościoła Świętej Anny wybijał północ. Jensen wypił sześć piw, był zmęczony i trochę pijany, co wydawało mu się całkiem nie na miejscu. W sprawie Rittera było wiele niejasności, przydałby się jasny umysł. Albo odwaga, by z tych wszystkich osobliwości wyciągnąć właściwe wnioski.

Poszedł do salonu, wiatr otworzył uszkodzone okno, prawie wszystkie okna były uszkodzone, ale to najbardziej. Na zewnątrz bębnił deszcz, w domu naprzeciwko migotał telewizor, Jensen nawet nie znał nazwiska sąsiada, samotnego starszego pana, tylko to o nim wiedział. Telewizor migotał już od rana, może mężczyzna umarł w fotelu, często właśnie w tym miejscu znajduje się zwłoki. Jensen postąpił chwilę przy oknie, pooddychał chłodnym – wydawało się, że i ciemnym – powietrzem. Uliczka nie była oświetlona, tylko na końcu świeciła mała lampa nad drzwiami.

Do Meksyku. Odebrała ich jakaś wieśniaczka. Gdzie dokładnie leży Monterrey? Najchętniej położyłby się spać, lecz wiedział, że to się nie uda, że jego myśli będą krążyć i nie pozwolą mu zasnąć. Usiadł więc znowu przed komputerem i wpisał w wyszukiwarkę hasło „Monterrey”.

Kilkumilionowe miasto na północnym wschodzie Meksyku, znaczący ośrodek przemysłowy Ameryki Łacińskiej. Przemysł zilustrowano zdjęciem brzydkiego miejskiego pejzażu. Mało prawdopodobne, żeby dobrze sytuowani Amerykanie, tacy jak Ritterowie, posiadali tam domek letniskowy, chociaż Monterrey oddalone jest od Phoenix, największego miasta Arizony, o jakieś dwie, trzy godziny lotu. Amerykanie wybierają się do Monterrey najwyżej w sprawach służbowych. Dlaczego zatem chłopcy wybrali się w tę podróż, z biletami kupionymi przez nieznaną osobę godzinę po śmierci ich ojca?

*Angelitos*, aniołki. Gdy potrzebujemy pomocy, modlimy się i wtedy Bóg zsyła swojego anioła. Tego z mieczem – powiedział Oliver.

A Balasundaram: Policja musiałaby szukać sprawców chyba w sferze pozaziemskiej.

Jensen poszedł do łazienki i zwiłzył twarz zimną wodą. Może wszystko było zaplanowane. Może Rick i Oliver wiedzieli, że ojciec nie wróci do hotelu. Opuścił go wieczorem, a oni wiedzieli, że widzą go ostatni raz i że nazajutrz polecą do Monterrey. Godzinę po zgonie Rittera ktoś kupił bilety, jakby tylko czekał na ten moment.

I jeszcze ta niewyjaśniona śmierć.

Jensen niedbale umył zęby, tak czy inaczej wkrótce trzeba będzie je wszystkie usunąć, najdalej za dziesięć lat. Zęby się chwiały, dziąsła były rozpulchnione, zanikały kości żuchwy; śmierć zabiera ludzi kawałek po kawałku.

Położył się do łóżka. Przed zaśnięciem postanowił: lecę do Holbrook.